

I nachyliwszy się, dotknął ręką twarzy zmarłej, zachwiał się i padł bezprzytomny.

Podniósł się po upływie godziny, już spokojniejszy — poważny i milczący, i rozejrzał się w położeniu.

Czuł, że nadeszła chwila nieodwołalnych postanowień. W przeciagu paru dni pod naporem klęsk nieprzewidzianych zwicznął się jego los i to w chwili właśnie, gdy pewien był zwycięstwa. Co miał robić? Rozpocząć od nowa! Znowu budować od fundamentów? Nie miał do tego odwagi. Więc cóż?

Błądził przez cały ranek po parku; tragiczny to był spacer; chodząc tam i z powrotem, rozglądał się we wszystkich szczegółach sytuacji i śmierci tylko widział, jako jedyne wyjście.

Jednakże, czy przyjdzie śmierć wybrać, czy życie, widział to jasno, że ma jeszcze pewne czynności do spełnienia. Nagle uspokojony mózg rozumiał ich konieczność.

Było południe. Zegar kościelny zadzwonił na Anioł Pański.

— Do dzieła — szepnął — odważnie!

Wrócił do pawilonu spokojny bardzo, wszedł do swego pokoju, stanął na krześle i odciął sznur, na którym wisiał Piotr.

— Biedaku! — szepnął — już ci tak widać było sądzonem, skończyć z konopnym krawatem na szyi!... Niestety, nie urodziłeś się ty na dostojnika. Powinienem być to przewidzieć i nie budować łobów moich na wierszoklecie.

Ułożył obydwa ciała jedno obok drugiego, nakrył je wspólną zastoną, siadł przed stołem i napisał:

„Zwycięzcą byłem, lecz jestem zwyciężony. Do chodzę do celu, lecz padam. Los silniejszy jest nademnie. A ta, którą kochałem, nie żyje. Ja także umieram“.

*Arsen Lupin.*

Zapieczetował list, włożył go do butelki i wyrzucił przez okno na miękką ziemię kwiatowej grządki.

Następnie ułożył na podłodze wielki stos ze starych gazet, słomy i polan drzewnych, których przyniósł z kuchni.

Wszystko to oblał naftą i zapaliwszy świecę, rzucił ją na ten stos.

Ogień chwycił odrazu, zaraz też z hukiem i trzaskiem buchnęły płomienie.

Lupin dobiegł do bramy, a odwróciwszy się poza siebie, ujrzał pożarem objęty pawilon drewniany...

## EPILOG.

— To ty!

W małym saloniku willi w Garches stała pani Ernemont, drżąca, przerażona, poblądła, szeroko otwartymi oczami patrząc na stojące przed nią zjawisko.

To on! To Lupin!

Ty! — wyjąkała. — Ty!... A przecież w dziennikach pisano...

Uśmiechnął się smutno.

— Tak jest, ja nie żyję.

— Jakto? jakto?... — zapytała naiwnie.

— Chcesz powiedzieć, że skoro nie żyję, jestem tutaj niepotrzebny. Wierzaj mi Wiktoryo, że jeżeli jestem, to dla ważnego powodu.

— Jak ty się zmieniłeś! — rzekła współczująco.

— Miałem trochę zawodów w życiu. Ale to już minęło. Słuchaj, czy Genowefa jest tu.

Skoczyła ku niemu nagle rozgniewana.

— Dasz ty jej wreszcie spokój? Genowefa! zostaw Genowefę! zabrać ją znowu! Aa! ale tym razem już ja jej nie dam. Wróciła zmęczona, taka blada, niespokojna, a teraz zaledwie odzyskuje rumieniec. Zaklinam cię, daj jej spokój!

Lupin oparł z siłą ręce na ramionach staruszki.

— Ja chcę... rozumiesz... ja chcę z nią mówić.

— Nie pozwolę na to.

— Będę z nią mówił!

— Nie!

Chciał ją odepchnąć. Stała przed nim i skrzyżowała ręce.

— Po mojem ciele ty chyba przejdiesz. Szczęście tej małej tu jest, a nie gdzieindziej... Ze wszystkimi twojemi pojęciami o pieniądzu i o dostojństwach, tybyś ją unieszczęśliwił. A tego, to ja nie chcę. Co to, ten twój Piotr Leduc, albo to twoje Veldenz? Genowefa księżną panującą! Zważywałeś! To nie dla niej życie. W gruncie rzeczy, widzisz, toś ty w tem wszystkim tylko o sobie myślał. Władzy dla siebie, znaczenia dla siebie szukałeś. Co ty sobie robisz z tego dziewczątka! Czyś ty się choć zastanowił, czy ona go kocha, tego urwipolcia, twojego księcia! Czyś ty się zapytał choćby, czy ona go kocha? Nie, ty sobie siedziałś do swojego celu, a nawet nie pomyślałeś o tem, że może ranisz Genowefę, że może unieszczęśliwisz ją na resztę życia... Otóż ja tego nie chcę. Jej potrzeba spokojnego życia, prostego, uczciwego, jasnego — a takiego ty jej dać nie możesz. Więc czegoż właściwie tu chcesz?

Zdawało się, że zachwiał się przed tem rozumowaniem, głosem jednakże cichym i bardzo smutnym szepnął:

— To niepodobna, żebym ja już nigdy nie miał jej zobaczyć. To niepodobna, żebym już nigdy nie miał mówić do niej...

— Ona myśli, że ty nie żyjesz.

— A ja właśnie tego nie chcę! Ja chcę, żeby ona знаła prawdę. To męka wyobrażać sobie, że ona o mnie myśli, jak o kimś, co już nie żyje. Przyprowadź ją do mnie, Wiktoryo!

Mówił tak łagodnie, z taką boleścią w głosie, że staruszka wzruszona, spytała:

— Widzisz... ja przedewszystkiem wiedzieć muszę. Zależy to od tego, co ty jej chcesz powiedzieć. Bądź szczery, mój mały... Czego ty chcesz od niej? czego chcesz od Genowefy?

Odpowiedział jej bardzo poważnie:

— Chcę jej powiedzieć tyle: Genowefo, ja matce twojej przyrzekłem, że dam ci majątek, znaczenie, życie jak z bajki. A wtedy, gdybym był dopiął tego celu, byłbym cię prosił o mały kącik dla siebie, gdzieś w twojem pobliżu. Bogata i szczęśliwa zapomniabyś — tak, jestem tego pewien — że zapomniabyś o tem, czem ja jestem, a raczej czem byłem. Na nieszczęście los silniejszy ode mnie. Nie przynoszę ci ani majątku, ani znaczenia. Nie przynoszę ci nic. I to ja, przeciwnie, potrzebuję ciebie, Genowefo... czy chcesz mi dopomóc?

— Do czego? — zapytała z lękiem starowina.

— Do życia.

— Ach! — rzekła — na to ci przyszło, mój biedny mały!

— Tak — odpowiedział poprostu — tak... na to mi zeszło. Trzy istoty zginęły, które ja zabiłem, własneni rękoma zabiłem. Ciężar tych wspomnień nazbyt gorzko gnucie. Sam jestem. Po raz pierwszy w życiu pomocy mi potrzeba. Mam prawo o tę pomoc prosić Genowefę. A jej obowiązkiem jest dać mi ją. Jeżeli nie...

— Jeżeli nie?

— Jeżeli nie, koniec będzie wszystkiemu...

Staruszka zamilkła, blada i drżąca. Odzywało się w niej całe przywiązanie dla tego, którego mlekiem swem wykarmiła i który zawsze i pomimo wszystko pozostał jej „małym“.

— Co ty z nią chcesz zrobić? — zapytała cicho.

— Będziemy podróżowali. Z tobą, jeżeli zechcesz...

— Ale ty zapominasz... ty zapominasz...

— O czem?

— O twojej przeszłości zapominasz...

I ona o niej zapomni. Ona rozumie, że ja już tem nie jestem, że ja już tem być nie mogę, czem byłem.

— Więc ty rzeczywiście chcesz, żeby ona dzieliła życie Lupina?

— Życie człowieka, którym ja odtąd będę, człowieka, który chce pracować, byleby ona była szczęśliwą, byleby mogła wyjść za mąż wedle swojej woli. Zamieszkamy gdzieś w jakimś odległym zakątku świata. Razem walczyć będziemy i razem pracować. A ty wiesz przecież, co ja potrafię.

Powtórzyła z wolna, nie spuszczając z niego oczu.

— Więc ty rzeczywiście chcesz tego — chcesz, żeby ona dzieliła życie Lupina?

Zawahał się chwilę, krótką chwilę zaledwo i oświadczył dobitnie:

— Tak, ja chcę tego, mam do tego prawo.

— Chcesz, by porzuciła wszystkie te dzieci, do których się przywiązała, całe to życie pracy, które kocha i które jej szczęście daje?

— Tak, ja chcę tego, to jej obowiązek:

Staruszka otworzyła okno i rzekła:

— Skoro tak, zawołaj ją.

Genowefa siedziała w ogródku, na ławeczce pod drzewem. Cztery dziewczynki cisnęły się dookoła niej — inne bawiły się i biegały.

Widział ją dobrze. Widział oczy jej, uśmiechnięte a poważne. Trzymała w ręku kwiat i oskubując listki, tłómaczyła coś dzieciom, uważnym, zaciekawionym. A potem je wypytowała. A za każdą odpowiedź dzieciaki w nagrodę otrzymywały całusa.

Lupin patrzył na nią długo i z niewymownym wzruszeniem. Wrzały w nim jakieś nieznane dotąd uczucia. Pragnął przytulić do serca to piękne młode dziewczę, pragnął uściskać ją, pragnął wypowiedzieć, jak bardzo kocha ją i szanuje. Stawało mu w myśli wspomnienie jej matki, tej, co to umiała w wiosce Aspremont, a umiała ze zmartwienia.

— Zawołajże ją! — upomniała Wiktorya.

Opadł na fotel i wyjąkał cicho:

— Nie mogę... nie mogę... ja nie mam prawa... To być nie może... Niech ona myśli, że ja umarłem... Tak będzie lepiej...

Plakał, łkanie wstrząsało nim całym, zalewała go niezmierna rozpacz, serce wzbierało jakąś tkliwością nieznana, rodzącą się jak spóźnione kwiaty, które giną w dniu, w którym zakwitły.

Staruszka ukłękła przy nim i drżącym głosem szepnęła:

— To córka twoja, nieprawdaż?

— Tak, to moja córka.

— O biedne dziecko — zalała się łzami. — Biedny ty mój mały...

Minęło chwil sporo... Staruszka, gładząc jego rękę, łzami zalanemi oczyma patrzyła z ogromną litością na twarz tę, tak sobie drogą i mimo wszystko, kochaną.

Nareszcie Lupin skrzepił się w sobie. Powstał. Ujął twarz jej w obie ręce i wycisnął na niej serdeczny pocałunek.

— Żegnaj, Wiktoryo!... Już mnie nie zobaczysz!

— Co z tobą będzie? Dokąd ty teraz? — szepnęła trwożnie.

— Jadę do Afryki... wstąpię pod obcym nazwiskiem do Legii cudzoziemskiej... Mnie życie na nic — może ojczyźnie przyda się moja śmierć!

KONIEC.